

# Jerzy Blancard

---

## Jak junacy z Zana czyścili staw w "Potuliku"

---

Przegląd Pruszkowski nr spec., 99-104

---

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**JERZY BLANCARD**  
**Matura 1952**

JAK JUNACY Z ZANA CZYŚCILI STAW W „POTULIKU”

Miałem niemały dylemat, kiedy Pani Profesor (czyli Irena Horban) poprosiła o (można powiedzieć „wymusiła”) napisanie wspomnień z okazji rocznicy powstania Towarzystwa Absolwentów. O czym mam pisać? Z okazji „lecia” naszej Szkoły, lata temu, już napisałem o tym, jakie miałem w życiu szczęście mając dla edukacji taką armię wspaniałych nauczycieli, których umiejętności przekazywania swej wiedzy takim jak ja żółtodziobom, zawdzięczam wszystko co osiągnąłem w życiu. O nich, o ich zasługach, pisali oczywiście też inni „Zaniacy”, więc temat uznałem za wyeksploatowany. Na szczęście pogoda zachęcała do spacerów i chodząc po „Parku Potulickich” doszedłem do mini „Jeziora Lemańskiego”, czyli stawu z fontanną na środku, tryskającą w niebo. To mnie olśniło! Mam wreszcie temat o którym, jak sądzę, nikt już nie pamięta. Napiszę, a jednocześnie osiągnę spokój od nagabywań Ireny! Przecież „Zan” ma na swoim koncie, oprócz wielu innych zasług, niebagatelny udział w zaistnieniu Pruszkowa jako ładnego miasta! Ten staw, a precyzyjniej, jego „odrodzenie”, to zasługa społecznej pracy „Zaniaków”! Do dzieła więc! Jest o czym napisać!

Swoje wspomnienie muszę jednak rozpocząć od osadzenia akcji w czasie i przestrzeni. Dotyczą bowiem czasów tak już odległych, że większa już armia „Zaniaków” ich nie pamięta. Posługując się cytatem z dowcipu o Napoleonie: „...z tysiąca powodów. Po pierwsze...” (koniec cytatu) nie było ich wtedy jeszcze na świecie. Był to bowiem rok 1951 i dwie klasy 10a i 10b, ściślej ich gorsza połowa, czyli same chłopaki, bagrowali (tak się to fachowo

nazywa i kojarzy z bagnem, w tym wypadku prawidłowo, bo zgodnie ze stanem faktycznym) ten staw. Teraz konieczne objaśnienia. Numeracja klas, która wówczas obowiązywała, to: od 1-szej do 7-ej „powszechniak” (między innymi tę funkcję pełniła szkoła im. T. Kościuszki). Od 8-mej do 9-tej „gimnazjum”, a od 10-tej do 11-tej „liceum”. Tą już wyższą edukacją zajmował się „Zan”, (a od 1951 roku również, przemianowana z „powszechniaka”, szkoła przy ul. T. Kościuszki, czyli „Kościuszkowcy”, lub jak kto woli „Kościuchy”). Pruszków w owym czasie był miastem stricte przemysłowym z wieloma fabrykami i zakładami zarówno na obrzeżach, jak i w centrum. Co prawda ulice „centralne” miały już nawierzchnię w postaci tzw. „kocich łbów” ale pozostałe były „drogami gruntowymi” Ulica im. B. Prusa była arterią wylotową z miasta, z drewnianym wtedy jeszcze mostem nad Utrata. (Mała dygresja, bo nie mogę się powstrzymać! Nie było wtedy tej nieszczęsnej inwestycji komunikacyjnej w postaci szosy Warszawa-Żyrardów, przebiegającej środkiem miasta, nazwanej Aleją Wojska Polskiego, której budowę w tym miejscu miasto „zawdzięcza” naciskowi właścicieli Helenowa, (na ich cześć nazwę otrzymała ta arteria), aby do bram ich siedziby wiodła prosta, a nie jakaś „okrężna”, poprzez obwodnicę Pruszkowa, droga!) Dostyc dygresji! Wracamy do tematu! Istniał co prawda dwork, zwany „Pałacykiem hr. Potulickiego” (tego „hr.” skasowano najpierw ze względów „politycznych”, a następnie już tylko dla skrócenia nazwy), z budynkiem oranżerii, parkiem i stawem (ogrodzenie zostało rozebrane ze względów „ideologicznych”, aby „masy” miały swobodny dostęp do pozostałości po „wrogu klasowym”. I owszem, miały!) Park był coraz bardziej dewastowany, a stawy (bo jest ich, jak było, kilka) raczej przedstawiały sobą brudne bajorka, hodowlę komarów nie zasługiwały na miano stawów. Dla kontrastu zasilająca je rzeczka Utrata była wówczas czystym potokiem płynącym po czystym, piaszczystym dnie, w której można było się kąpać i łowić ryby. W celu zasilenia stawów w wodę była wykonana na jej za-

kolu (od strony pól tworkowskich) drewniana zapora spiętrzająca wody Utraty. Piszę o tym szczegółowo, bo to są właśnie „miejsca akcji”. Teraz kilka słów wyjaśnienia dotyczącego „czasu akcji”. W „owych czasach”, (choć to może brzmieć jak bajka), aby dostać się na studia wyższe nie wystarczało zdać dobrze egzaminy: maturalny i ten na uczelnię. Trzeba było również należeć do „odpowiedniej” organizacji, w tym wypadku jedynej, którą był Związek Młodzieży Polskiej (ZMP). Ale najważniejszą sprawą, aby móc być przyjętym, były dodatkowe „punkty”. Najwięcej otrzymywało się punktów (nazwijmy je „dodatnich”, bo mogły też być „ujemne”) za t.zw. „pochodzenie”, czyli jeśli się miało szczęście urodzić w rodzinie robotniczej lub chłopskiej. Najlepiej, aby ojciec był „prostym robotnikiem” lub „chłopem” posiadającym małe poletko. Powyżej hektara za dużo – taki rolnik stawał się już „kułakiem”, a wykształcony ojciec nie mógł poziomem naukowej wiedzy wystawać ponad określenie „inteligent pracujący”. W obu wypadkach nie można było liczyć na żadne „punkty dodatnie”. W związku z powyższym jedynym ratunkiem dla takich delikwentów było zdobycie tych „punktów” poprzez odbycie t.zw. „prac społecznych” w oddziałach specjalnie w tym celu utworzonych, zwanych patriotycznie „Służbą Polsce”, w skrócie SP. Był w naszej, tej gorszej klasie 10b (gorszej od tej 10a, która faktycznie była spokojniejsza, nieporównywalnie mniej „rozwydrzona” od naszej) „samozwańczy przywódca” Roman B. Był również działaczem w kierownictwie pruszkowskiej komórki ZMP. Udało mu się dość łatwo nas przekonać (bo rzeczywistość była taka jak była) najpierw do „masowego wstąpienia w szeregi ZMP”, a następnie do „ochotniczego” (choć w obu wypadkach niezbyt ochotnego) zgłoszenia do udziału w pracach społecznych w ramach SP. Oddział ten został powołany, chyba właśnie z inicjatywy Romka, jako jedyny w Pruszkowie działający na terenie miasta, wyłącznie w tym celu. Muszę jednak w tym miejscu uciec do małej dygresji, dotyczącej jego osoby. Sądziłem po pozorach, jak pewnie większość kolegów, że

ta działalność wypływa z jego przekonań politycznych. Mówiąc prosto, że jest z przekonania „komuchem”. Musiałem jednak zwerfikować ten pogląd słuchając homilii wygłoszonej przez księdza proboszcza na jego pogrzebie w podwarszawskiej miejscowości, w której to homilii wychwalał działalność i zasługi Romka dla dobra parafii. Widać z tego, iż nie należy sądzić kogoś po pozorach. On pewnie był już wówczas od nas bardziej „dorosły” i wiedział więcej o „polityce życia”. W każdym razie dzięki jego inicjatywie zdobyliśmy te „brakujące punkty dodatnie”, dzięki którym, z całą pewnością, większość ze „startujących” na wyższe studia, po zdaniu egzaminu, została przyjęta. A przy okazji Pruszków odzyskał staw! A działo się to tak. Jeszcze przed rozpoczęciem właściwych prac, jeszcze po „cywilnemu”, korzystając ze zwolnienia z zajęć udzielonego przez Profesorów, wynikającego z przeprowadzanych w tym czasie egzaminów maturalnych starszego rocznika, pracowaliśmy przy tej zaporze na Utracie. Trzeba było oczyścić koryta dopływów i rozebrać ścianę zapory, aby mogła woda ze stawów spłynąć do rzeki, a stawy w miarę możliwości (czyli „pracy” słońca) wyschnąć. Pamiętam „zabawny” incydent, który podczas tych prac „przygotowawczych” miał miejsce. „Zabawnym” był dla jego obserwatorów, nie uczestników. Kolega Stefan C. dość drobnej postury chłopak, ale straszny zadziora, pobił się z wielkim i zwalistym Maćkiem M., którego postura była odpowiednia do profesji ojca (był rzeźnikiem). Jak się to stało nie mam pojęcia, ale „zwyńczył” ten drobniejszy, dokumentując zwycięstwo podbitym okiem rywala. Zabawny był natomiast dla wszystkich komentarz (widać była jakaś przerwa w egzaminach maturalnych, bo byliśmy znowu w szkole) w tej sprawie naszego katechety (wtedy lekcje religii, choć już „nie obowiązkowe” jeszcze się odbywały) księdza Hera. Wskazując na podbite oko wielkoluda i drobną w stosunku do jego postury sylwetkę Stefana skomentował: „teraz jestem na 100% pewien, że Dawid zabił Goliata”. Wracając do meritum. Zarząd pruszkowskiego ZMP mieścił się w budynku przy ul. B. Prusa (stoi

do dzisiaj, ale zmienił oczywiście przeznaczenia). „Sztab” zajmował parter budynku, a na piętrze urządzono sypialnie dla „Junaków” (bo takie miano nosili „szeregowi” w drużynach SP) Wydano nam jednocześnie umundurowanie, („wchodziło się” do tego „munduru” przez klapę w miejscu, w którym „słońce nie dochodzi”), furażerki i gumiaki. Jako „sprzęt” dostaliśmy łopaty z którymi, jak z karabinami, co rano defilowaliśmy czwórkami ulicą Bolesława Prusa na miejsce. Nie pamiętam, czy „ze śpiewem na ustach”, pewnie tak, bo wtedy śpiew był niejako obowiązkowym symptomem okazywania „radości życia” w tym „najweselszym baraku w obozie demoludów”. Natomiast z całą pewnością bez odgłosu kroku „żołnierskich butów” na kocich łbach ulicy, gdyż gumiaki, choć przypominające oficerki (z racji sięgania cholew aż do kolan), były gumowe, a guma, jak wiemy, do tego bez podkówek, odgłosu raczej nie wydaje. Za to były o tyle przydatne (te gumiaki) że umożliwiały pracę w tym bagnie bez zamoczenia nóg. Nieraz jednak pozostawały zakleszczone w błocie, kiedy chciało się postawić następny krok. Wówczas, tracąc równowagę i tak bosą nogą łądowało się w grzęzawisku. Dla ułatwienia pracy, a tak właściwie, aby w ogóle można było ją wykonywać kopiąc to bagienko, łądować „urobek” na taczki i wywozić na skarpe stawu, trzeba było pracować i jeździć po „torach” wykonanych z desek. Taki rodzaj toru zręcznościowego, bardzo niestabilnego, do tego wąskiego, musieliśmy pokonywać prowadząc po nim naładowane po wierzch, ciężkie taczki. Na dodatek, na końcowym odcinku drogi, mocno pod górkę, musieliśmy z tymi taczkami wjechać na skarpe, czyli na brzeg stawu. Przy lipcowym upale, osiem godzin dziennie! Jak myśmy to wytrzymywali? Nic więc dziwnego, że o „wypadki”, jak to gubienie gumiaków, wywrotka w błocie czy tp. (choć nie groźne), nie było trudno. Zapamiętałem jedyny poważniejszy, Kolega Marek S. wpychając naładowaną taczkę na tę skarpe, pośliznął się, stracił równowagę i koziołkująca taczka rączką zahaczyła go za miejsce zwane intymnym. Na szczęście skończyło się jedynie

na zadrapaniu, czy raczej rozerwaniu skóry, a mogło przecież (stąd to określenie, „na szczęście” dla tego nieszczęścia) pozbawić go męskości! Znowu „na szczęście”, jedyna w tej męskiej drużynie dziewczyna, Wiesia P. (o ile pamiętam chodziła do „Kościucha”, ale jej sympatią był przystojny chłopak z naszej klasy, Zdzisiek K. i dla niego właśnie przywdziała mundur i była „sanitariuszką”, nazwałbym ją raczej „dobrą wróżką” batalionu „Junaków”) zaopiekowała się rannym i doprowadziła do „kwatery”. Marek zyskał trzy dni wolnego na „wylizanie się z ran”, a potem już do końca pracy przy stawie, musiał biedak znosić wypytywania kolegów na temat, kto mu robił opatrunki, czy bardziej bolało niż było miło itp., „niestosowne” żarciki. Żarty żartami, a na poważnie praca naprawdę była ciężka, ale zaowocowała podwójnie. Po pierwsze uzyskaliśmy za nią „punkty dodatnie”, a po drugie, jak wcześniej pisałem, ul. B. Prusa była arterią wylotową – przywrócony do życia staw w Parku Potulickich stał się niejako „wizytówką miasta”, którą każdy, wjeżdżający do Pruszkowa, musiał zobaczyć i pewnie podziwiać. I choć w następnych latach, już mechanicznym sprzętem staw pogłębiano, utwardzano brzegi, zamontowano fontannę, doprowadzając do obecnej jego świetności, pionierska praca „Zaniaków”, okupiona nie tylko potem, ale i krwią, jest godna zapisania (jak miemam) na kartach księgi upamiętniającej rocznicę powołania Towarzystwa Absolwentów. Ku pokrzepieniu serc (czy przypadkiem ktoś już nie użył tego zwrotu? Coś jakby pamiętam, ale „matura” była już tak dawno! A skleroza najzaciejsze trafia głowy. To też już ktoś przede mną napisał, tyle że, chyba, mowa tam była o „paraliżu postępowym”). Głowa już nie ta. Kończę więc.

Jurek Blancard  
rocznik 1952  
(niestety, matury, nie urodzin)